ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 6 listopada 1909 r. № 45.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

32

Powieść historyczna.

— Kazał! Hm!.. Kiedy przykaz był, tedy... ani mrumru! Ani mrumru. Pańskie musi być i skarbowe musi być... inaczej do kancelaryi i... na ławę... choćbyś, choćbyś dwa świniaki... nie u ten...

Na ten wywód, choć pijacki, pomruk odczarowania przebiegł ciżbę. Lecz jeden ze starszych kmieci do rdzenia rzeczy chciał dotrzeć.

— Kiedy bo akuratnie, panie pisarzu, proboszcz czytał z pisanego, jako pan graf wszystko darował chłopom i jako inne pany takoż darują, i czynsz, i ziemię, i pańszczyznę, jeno trza kupą iść i wojować, bo wojna na całej Litwie ogłoszona!

Pisarzowi w głowie się zamąciło. Bełkotał coś i wybrnąć nie mógł.

— Nie słychać!—zawołano dokoła.

— Może pan pisarz na opłotki... niech gromada się dowie!

Dwóch najbliższych parobczaków podźwignęło imć Ciupajkę i na opłotki wzniosło.

Pisarz oprzytomniał nieco na tym piedestale.

— Tedy czego wam? hę?!

— Według wojny ogłoszenia!

— Mówiłem... z trzech dymów jeden rekrut, wedle woli pana grafa wybrany. A kto się do rekrucкiego urzędu nie stawi, ten w dyby pójdzie. Taki przykaz od pana sprawnika!..

— Jakże bo!.. Widzicie!... Tumani coś!.. Gadałem wam!.. Nie może być!.. My nie o tem!.. Sprawnickie się skończyło!.. Pomieszanie jedno!.. Zgadnij, Jezu!.. Co było, to i ostało! .—wykrzykiwano w tłumie.

Imć pan Ciupajko teraz rezonu nabrał. Brwi ściągnął i napomniał surowo:

— Ani mrumru, kiedy pisarz mówi! Zważać, chamy, na urząd, bo...

Lecz w tejże chwili jakaś garść porwała za kark Ciupajkę i rzuciła nim o ziemię.

Tłum zakołysał się na takową śmiałość,—lecz nim zdołał pojąć, kto ważył się tak dostojną osobę sponiewierać, na opłotkach ukazała się przysadzista postać jegomości o małych, płowych oczkach i wielkim, czerwonym, guzowatym nochalu.

— Chamy! — podjął z pasyą jegomość.—Barany dusiackie! I cóż na mnie ślepie raczycie! Rodzonego proboszcza macie za nic! Wilka się radzicie, czyli prawda, że go mają z boru wyżenąć. Nie mamrotać! Niech się oczajdusza sam trzeźwi. Nie takiego bobu wart. Nie kalkulujecie! Zasadzono was do pełnej misy, a wy czego? Zgłodniałemi zębami kłapiecie... trza wam jeszcze, żeby samo do gardła wlazło, bo po łyżkę sięgnąć wam za ciężko! Piecuchy! Co?.. gadaj mi zaraz, czegoć jeszcze!..

Tłum, na to zagajenie, mocniej się zwarł. Jegomość nie dał mu wytchnąć.

— Wiesz, czem byłeś do dziś z rana? Duszą skazkową, inwentarzem, gadziną folwarczną! A od teraz, capie jeden, obywatelem zostałeś, człowiekiem, co sobie pracuje, na swojem siedzi, własną ziemię orze i własnej ziemi broni. Pan graf Cezary wszystko zaległe zmazał, wolność wam darował. Kto po dobrej chęci będzie rad mu sługować, ten się przynajmie, niby jaki cywun czyli komisarz. Naprzykrzy sobie sługowanie, tedy może do chałupy wracać, albo, gdzie oczy poniosą, drałować. Niema poddaństwa. Wolność jest... Rozumiecie dusiaccy!?..

— Sprawiedliwie, jeno...

— A uszpolscy?

— Do rzeczyś powiedział. W Uszpolach takoż nie żaden niemiec, jeno kniaź Sapieha. Znacie pana Grotkowskiego, więc wam, co należy, wyłoży. Od teraz po całej Litwie musi być toż samo. Pod Rosieniami wszystek naród w jednę noc zeszlachciał. Co tu rozpowiadać wiele! Macie wóz i przewóz. Chcecie być duszami, chcecie, aby was, jak dotąd, niby cielęta sprzedawano?!. Nie! Tedy brać za co kto może... inaczej, co wam pan graf darował, to wam sprawnik z asesorem odbiorą!

— Niedoczekanie!

— Tylko, aby według wojny!?

— Krótka sprawa. Wojna jest. Wiara pod Warszawą na piękne się wzięła. Teraz kalkulujcie: czyli wolicie czekać, aż was do rekruckiego urzędu napędzą, zaszyją w mundury i rodzonych prać każą, czyli snadniej wam społem iść za Ostrobramską, za Rosieniami, na ustanowienie sprawiedliwości, jako Bóg przykazał a ksiądz proboszcz wyłożył. Przymusu niema! Komu łacniej, z pisarzem niechaj zostawa!

Tłum drgnął i wybuchnął groźnym pomrukiem.

Jegomość, z waszecia odziany, jakby w pomruku tym nowych sił poczerpnął, bo goręcej jeszcze przemówił. I przemówił tak, że do najtajniejszej bolączki każdemu trafił, że całą niedolę każdemu rozpowiedział, że wyłożył, i to akuratnie, co pod sercem dręczyło, a czego myśl przyćmiona chwycić nie mogła.

Tłum pod ciosami słów jegomości mocniej się zwarł, oddech przytłumił a rozbłyszczonemi oczyma zdawał się spijać z ust mówcy każdy wyraz.

Podczas w niepozorną, kusą postać jegomości jakowaś moc, zgoła niepojęta, wstąpiła, bo głos mu spotężniał raptem, nochal guzowaty a szpetny przestał z oblicza się nastręczać, a ramiona coraz bardziej nad pogłowie się dźwigały.

Trwało tak, aż jegomość czapę wzniósł do góry i huknął gromko:

— *Wysi Wira eykiem!*

Tłum zatoczył się, jak odurzony, i ryknął tysiącem głosów:

— *Wysi Wira!*

Ale, zanim echo tego okrzyku umilkło, hen w oddali, na drodze od nadjeziorza, ozwał się miarowy łomot tarabanów i ochocze dźwięki trąbek.

Tłum, porażony zbliżającemi się dźwiękami, osłupiał.

Lecz tarabany z trąbkami, cale nie turbując się o alteracyę stłoczonej przed kościołem ciżby, coraz pełniej uderzały, coraz zawzięt-sze wybijały takty, coraz żwawiej ku ciżbie nadchodziły.

Jeden tylko jegomość, z waszecia odziany, nie stracił fantazyi.

Stoczył się z opłotków i, w sam środek tłumu wpadłszy, jął go rozsuwać a szeroką drogę żłobić od kościoła ku tarabanom.

Te ostatnie teraz w okamgnieniu dosięgnęły tej drogi i w całej pełni ukazały ciżbie pochód dziwny, osobliwy, nieznany.

Więc przodem, na krępym podjezdku, szlachcic w zielonej myśliwskiej kurcie i czapie rogatej. Na pierwszy rzut—niby leśniczy, boć kordelas u pasa, flinta przewieszona i torba, kłaniająca się pęczkiem troków. Jeno szerpentyna u boku i kokarda biało-amarantowa u czapy coś o innej szarży szlachcica zdawały się powiadać.

Za tym jeźdźcem trzy tarabany i czterech trębaczy. Kurty strzeleckie, krojem pańskiej barwy, aby kokardy, aby twarze tak zadufane a junackie, aby pistolety i pałasze, tak butnie łyskające, że ani dopuścić, by komu innemu, niż sobie, sługowali. Dwóm z nich już siwizną srebrzą się skronie, trzem jeszcze puchy młodzieńcze nie ściemniały pod nosem—a nic, jeden takt trzymają.

Za muzyką chmara strzelb, czwórkami. Komiśne czamary, czapy granatowe, żółte patrontasze, pęki wstęg u czap, chłop w chłopa na schwał.

Tuż za tym oddziałem gromadka jeźdźców, niby sztab, niby jakowaś generalicya różnobarwna, różnozbrojna, lecz tem niezwykła, iż mająca za czoło, za serce swe, za dygnitarza młodzieniaszka, smukłe a tak urodziwe pacholę, że ani wzroku odeń oderwać, ani napatrzeć się twarzyczce delikatnej, rumieńcami malowanej, a okolonej pierścieniami krótkich, wijących się, złotopopielatych włosów, które wydzierały mu się niesfornie z pod aksamitnej konfederatki.

Młodzieniaszek atoli cale nie zdawał się być dumnym ze swej szarży, bo wpółprzymknięte jego oczy ścigały dal tak odległą, tak nieuchwytną, jakby wraz z trzymanym w ręku a zwiniętym sztandarem oderwać się chciał od otaczającej go gromadki i ulecieć. Lecz wzamian anglez, niosący młodzieniaszka, wszystkiemi żyłkami swego suchego łba, całą prężnością swych stalowych pęcin, całym ogniem swych niespokojnych ślepi znaczył wielką dźwiganego jeźdźca dostojność.

Ciżba tymczasem, na widok młodzieniaszka, długim poszmerem zabrzmiała. I, nie bacząc na las najeżonych kos, który za sztabem się ukazał, jęła w głos hukać:

— Bogać nie!.. Grafianka!.. Liksnańska panienka!.. *Ewmilia!.. Giwie!..* Ona nasza, sprawiedliwa! Rodzona! *Antamżu âmżenuju!*

Zawołania te, z początku nieśmiałe, oderwane, jęły się wzmagać tak, że trąbki, i tarabany już głuchły, gdy wtem, niby dla ładu zaprowadzenia w powstałym zgiełku, burknęły dzwony kościelne Ciżba umilkła pokornie, — za nią ucichły i trąbki, i tarabany. W rozwartych na ścieżaj drzwiach kościelnych mignęły żółte światełka gromnic, i monstrancya łunami swych złocistych promieni uderzyła.

Ciżba runęła na kolana. Spadły z głów i czapy, i rogatywki. Strzelby i kosy ku ziemi się pochyliły, nawet konie, pozbawione jeźdźców, łby kłoniły, nawet garstka żydziąt, co z ciekawości wylegla, pod opłotkami przycupnęła a z poza zdjętych grzecznie jarmułek zezowała.

A tam, u wrót kościelnych, monstrancya drżała w powietrzu, a łunami swemi zdawała się spływać ku furkoczącemu u jej stóp sztandarowi, a jego lśniące, amarantowe zwoje muskać. A proboszcz, kapą otulony srebrzystą, kryl za monstrancyą niegodne swe oblicze a pobielałemi wargami modlitwy szeptał.

Aż organista, a za nim bractwo, zaintonowało pieśń. Monstrancya znak krzyża nakreśliła i zawróciła w głąb kościoła, ku ołtarzowi, i cały pochód za sobą powiodła.

I kościół dusiacki zadrżał od pieśni, która, podjęta przez tłum na placu, cisnęła się ku niemu a coraz rozlewniejszemi falami biła o strop drewniany świątyni.

DCN.

MARZYCIEL.

42

W domku, gdzie z wieczora konał dróżnik, błyszczało światło i drzwi były otwarte; zajrzał tam bezwiednie i skamieniał przerażony. Na łóżku rozciągał się zesztywniały, siny trup, obok niego paliła się wysoka gromnica, rozsiewając po całej izbie żółtawe, jakby ropiące światło; do nóg zmarłego tuliło się dwoje uśpionych dzieci, coś jeszcze pojękujących przez sen; w kącie, w kupie łachmanów, leżała na wznak jakaś kobieta z szeroko otwartemi ustami, twarz miała zgorączkowaną i szklistą od łez zastygłych, spała, jak zabita; a przy drzwiach, zwinięty w kłębek, chrapał stary chłop w baraniej czapie na głowie; ze ścian patrzyły surowe, martwe oczy świętych, i duży, biały zegar cykał monotonnie...

Izba zdała się być martwem pobojowiskiem, z którego przed chwilą odeszła zwycięska śmierć, a tylko pozostały zamierające echa płaczów i zawodzeń...

Józio cofnął się, przejęty takiem uczuciem bezmiernego opuszczenia, że struga palących łez chlusnęła mu z oczów.

— I po całej paradzie! I po całej paradzie!—powtarzał rozpłakanym, smutnym głosem, biegnąc coraz prędzej wskróś nieustannie spadających śniegów.

Na stacyi wszystko było jeszcze pozamykane; świeciło się tylko w kancelaryi zawiadowcy, gdzie siedział dyżurny, jakby przykuty do aparatu telegraficznego,—podniósł zaczerwienione oczy na Józia, skinął głową i stukał dalej, jak dzięcioł.

Na kanapce pod ścianą spał rozmamłany Soczek.

— Ma służbę o ósmej i jeszcze nie pojechał do domu!—dziwił się Józio.

— Towarowy na haltsygnale!— ktoś krzyknął przez okno.

— Soczek prosił, żebyście go zabrali ze sobą; chciał nieco wypocząć i został...

— Pijany, jak Bela! Tak się biedak zmartwił krupnikiem, że już ani rączką, ani nóżką...

— Zabawa musiała być szampańska! Widziałem, że wszystkim kurzyło się ze łbów, a Kaczyński pobił się przy tej okazyi z Zielonką.

— O cóż im poszło?—pytał obojętnie, usiłując postawić Soczka na nogi.

— Nawymyślał mu od czerwonych, parszywych ryjów, tamten trzasnął go na odlew w zęby, potem zaczęli się tak serdecznie młócić, że ledwie ich rozdzielili.

— Kaczyński chyba mu tego nie puści płazem...

— Odbił mu zaraz na miejscu z dobrym procentem! A przytem obaj byli prawie nieprzytomni. Podobno i wy byliście tak wstawieni, że nie mogli się was dobudzić?..

— Ale przespałem się i, jak widzicie, jestem teraz obecny i przytomny.

— Psiakrew, a człowiek musi warować całe noce, jak pies na łańcuchu.

— Wstawaj pan! Pociąg na stacyi! — zakrzyczał Józio, dźwigając Soczka, który wreszcie otworzył oczy i naraz zaśpiewał chrapliwie:

— „Pora zdarza, pora zdarza! Pijmy zdrowie gospodarza!"

I zwalił się z powrotem na kanapę.

Musieli go zanieść do pociągu. Ale skoro tylko rozległ się sygnał odjazdu i szczęknęły ruszające wagony, Soczek się przebudził, mocno osadził na nogach i, macając przed sobą, zabełkotał:

— Jazda, Świderski! całą parą!

Zrobił kilka automatycznych ruchów i znowu zasnął.

Józio czuwał nad nim troskliwie i, chociaż był niezmiernie znużony, nie potrafił zasnąć ani na chwilę, tylko patrzył w okno i zadumywał się coraz smutniej.

Posępny świt już mglił się w przestrzeniach; wstawał brzydki, mokry i zimny dzień marcowy, drzewa stały obwalone śniegiem, a pola ciągnęły się, jak przemiękły, podarty i splamiony obrus; z brudnego nieba sączył się drobny, przenikliwy deszczyk.

— Muszę zacząć inaczej żyć!— rozmyślał Józio.—Jak wszyscy porządni ludzie, normalnie!—dopowiedział sobie z wielką stanowczością, gdy wysiedli na swojej stacyi.

Soczek był już prawie trzeźwy; ale kiedy ruszyli do domu, musiał się trzymać Józia, bo nogi mu się coś dziwnie plątały i z trudem utrzymywał równowagę.

— Niepotrzebnie się skułem!— narzekał, wycierając sobie twarz śniegiem.—A nie mówcie czasem żonie o mojem trynknięciu! Kobiety nie rozumieją prawdziwej zabawy!— zauważył.

W sieni Magdzia nastawiała samowar i było pełno gryzącego dymu.

— Pani wstała?—spytał, usiłując stanąć prosto.

— A bogać! dyć prawie od samego północka wyczekuje!

— Dawaj prędzej samowar! Chodź pan do nas na herbatę, proszę pana bardzo—szepnął ciszej.

Wciągnął go do pokoju, mimo energicznego oporu, i tem zażegnał na razie burzę, gdyż pani Zofia zaintonowała zaraz na wstępie przez uchylone drzwi sypialni:

— Jesteś nareszcie, bydlaku jeden! Ty, obmierzły opoju!

— Zosiu! Pan Józio przyszedł ze mną na herbatę!—odezwał się jak mógł najsłodziej.

Drzwi się z trzaskiem zawarły. Spojrzeli na siebie, a Soczek rzekł z uśmiechem:

— Z żoną, uważa pan, to tak: jeśli zaraz z miejsca nie chlaśnie w pysk, to już się skończy wszystko na fluksyi, łzach i rozbijaniu talerzy o moje pieski! Jakoś mi, psia twarz, niedobrze... pojadę, czy co? A możeby tak klin klinem?

— Gotowe!—odpowiedział apatycznie Józio.

— Kilonek czystej z angielskiemi kroplami, śledzik z cebulką, a na zakończenie kawał razowca ze słoniną... Toby nam kiszeczki ślicznie wyaksamitniło! Zosiu, daj mi klucz od kredensu.

— Powstrzymaj się z bólami!— odpowiedziała niezbyt uprzejmie.

DCN

Tad. Nalepiński.

Chrzest.

Z części III fragment*).

Słyszałem kiedyś bajkę o królewnie,
której uśmiechy z lic strącały kwiaty —
Kwiecie tęczowe... I myślę, że pewnie,
gdybym ja zaśmiał się z nią, te szkarłaty
i krwawe lilie, sponsowione gniewnie,
na jej tęczowe by padły makaty
i potem jeszcze—sprężone w łodygach—
długo konałyby w śmiechu podrygach...

Tak niewymowną jest głębia goryczy,
wsączonej w puhar ludzkiego żywota,
że gdy nie milczy duch, wnet ogniem syczy
i pianą iskier rozparska na błota,
gdzie giną bliźni... A ta piana krzyczy,
bo w niej się rodzi pieśń i w mękach miota...
Znam noce straszne: zanim kur zapieje —
tworzę. A świata Duch się ze mną śmieje.

I siada Mucha na dłoni zdrętwiałéj
i mówi:—Nie rusz mię, dobry poeto!
patrz: wiotkie skrzydła moje wysrebrzały
w lotach radosnych... Brzęczącą kometą
ja w twym pokoju, gdy po ścianie białéj
nad tobą bzykam... *to nie to... to nie to...*
ach, nie tem czernisz ty papieru zwoje,
co kochasz z Muchą—co moje i twoje...

— Co kocham, Mucho?.. może te granity,
szarpane w mrokach przepaścistej turni,
lodozwał, kędyś do skały przybity —
lub wnęk czeluści, nad które nie chmurniéj
na ziemi nie śni... Meteorolity,
wieszczące z nieba, że nie myśmy górni,
że za lazurów bezdenną przestrzenią
inne gdzieś światy kamienne się pienią...

— Co kocham, Mucho?.. może tylko fale
całunków lotnych (hindusi je „praną"
czasami zowią), jak święte Graale,
co wielbią szmerem miłość Nienazwaną...
Jako bezcenne niżę je korale
i myślę, że gdy z całunów powstaną,
usta me wulkan zachwytu rozchyli
i spłonę w jednej rozszalenia chwili...

. . . . . .

*) „Chrzest". Fantazya polska. Część I w „Krytyce" 1908, X, część II, (w „Tatrach") w „Sfinksie" 1909, II; cały poemat wyjdzie z druku w Krakowie w r. b.

Wiem: żadna obcą mi nie była zbrodnia,
za którą naród zdobywał Golgotę.
Tęskniłem wiecznie i tęskniłem co dnia,
i z grzechu włókien tkałem swą tęsknotę.
Lecz dziś ją palę—to życia pochodnia!
niechże weń maskę hebanową wplotę,
aby gorzała, jako dziejów zwoje —
palę królestwo ukochania swoje...

Na wielkim stosie płonie skrami maska
i pęka śmiechem ostatnim—niestety!
Więc wreszcie spełznie z lichego obrazka
i stli się w proch błazeńska twarz poety!..
Bezlicy wstanę, jak rycerz bez kaska,
i łódź mą pchnę w zaśnione oczerety —
tam pogrzebałem sny pierwsze i jasne,
tam wrócę—strudzon—i jak rycerz zasnę.

Ani mię tęcza rozbudzi na toni,
co niegdyś tęskne koiła nam oczy, —
ani mi mrok niebiosów nie przesłoni,
gdy nad jeziorem noc pióra roztoczy,
gwiazdami skrzące—ni mię wicher zgoni
nieścigły, prószące twych wonnych warkoczy
rozpierzchłe tchnienia po bezbrzeżnym stepie —
bo wszystką duszę mą dawną rozszczepię

i wrosnę duchem w ziemię. Jak w konary
rosochatego dębu go rozwidlę,
wpełznę w podziemi wilgotne pieczary,
kędy proroków nie przebodą rydle —
tam znajdę myśl swą... Bo tam moje czary,
któremi próżno dziś szalonych sidlę...
W miłosny płaszcz przyodzian Don Juana,
wnijdę, gdzie Prawda—we mnie rozkochana.

A jako paproć kwieciem pono jarzy
w oczach szczęśliwca—tak ja rozgorzeję
radością pyszną zbutwiałych ołtarzy,
na których anioł gaśnienia szaleje, —
anioł, z tryumfem na płomiennej twarzy,
anioł, co, gasząc, z wyroków się śmieje, —
bom tak ukochał szyderczę anioła,
że wrosłem w niego, jak w wierzbę jemioła...

I oto znowu—chrzcić was nie inaczéj
zdołam, wy bliźni, rozumni i cisi,
jak śmiechem czasu, który nic nie znaczy,
lecz pajęczyną ponad wami wisi
i—nim omota—wyssie sok robaczy
z czaszki obmierzłej, papuziej i lisiéj,
a potem serce nakarmi pieśniarza,
co was wypróchnia—w próchnie życie stwarza.

OGRÓD ALLAHA.

45

Serce Domini wezbrało ciepłem ku niemu. Wzruszyła ją ta ufność w Boga, tak otwarcie wygłoszona przez żołnierza, członka pułku afrykańskiego, w tym dzikim kraju.

Zanim znów przemówili, Androwski przebył ciemną przestrzeń pomiędzy namiotami i wkroczył zwolna w krąg światła od lamp.

De Trevignac powstał z fotela, i Domini przedstawiła ich wzajem. Podczas ukłonu obrzucili siebie szybkiem spojrzeniem. Potem Androwski patrzał w dół, a dwie zmarszczki pionowe okryły jego wysokie czoło nad brwiami. Nadały one jego twarzy wyraz raptownej rozpaczy. De Trevignac podziękował mu za gościnność z układnością swobodną światowca, świadcząc tem, że uprzejme zaproszenie, jakie spotkało jego i jego ludzi, pochodzi zarówno od niego, jak i od jego żony. Gdy skończył mówić, Androwski, nie podnosząc oczu, rzekł głosem, który wydał się Domini całkiem nowym, jak gdyby umyślnie przybranym:

— Jestem rad. Znaleźliśmy gazelę, spodziewam się tedy... spodziewam się, że obiad będzie niezgorszy.

Słowa te były aż nazbyt pospolite, sposób atoli, w jaki zostały wypowiedziane, był tak dziwny, dźwięczał tak nienaturalnie, był tak wymuszony, iż i de Trevignac, i Domini spojrzeli na mówcę ze zdziwieniem. Nastała chwila milczenia. A wtedy Batucz i Uardi weszli z zupą.

— Chodźmy! — rzekła Domini.—Zaczynajmy. Panie de Trevignac, proszę z prawej strony koło mnie.

Siedli. Dwaj panowie byli naprzeciw siebie z dwu końców małego stołu, przedzieleni lampą od siebie. Domini była twarzą do drzwi namiotu i mogła była widzieć przez nie woddali namioty służby, oświetlone blaskiem ogniska, i kształty żołnierzy francuskich, siedzących w skupieniu przy stole, z arabami, którzy ich otaczali. Dźwięki rozmowy wesołej i wybuchy przygodne śmiechu, które były prawie dziecięce w nieskrępowaniu swobody, mówiły jej, że uczta udała się wpełni. Spojrzała na swych towarzyszów i nagle powzięła pragnienie, prawie zapalne, by i ta druga uczta, której ona przewodniczyła, była również udatną. Dlaczego jednak Androwski zachowywał się tak dziwnie wobec innych ludzi? Dlaczego wydawał się całkiem innym, gdy wypadło mu zbliżyć się do nich? Byłaż to nieśmiałość? Czy głęboka nienawiść dla całego rodzaju? Nie mogła — to pewne—wymagać od niego zbytniej towarzyskości, której się nabywa przez długie obcowanie z mężczyznami i kobietami wszelkich stanów i rodzajów. Wiedziała atoli, iż jest on nie tylko pełen ognia i uczuć, człowiekiem wielkiego temperamentu, lecz iż jest zarazem człowiekiem, który miał czas na studya, którego umysł nie był pusty. Był on człowiekiem, który myślał głęboko. Wiedziała o tem—i oto uczuła, iż żywioł wojowniczy powstaje w niej. Postanowiła użyć swej woli, by zmusić człowieka, którego kochała, do przedstawienia się z lepszej strony gościowi, który przybył tu, uszedłszy z rąk śmierci. Postanowiła być nawet stanowczą.

De Trevignac rzucił na nią wzrokiem z nad talerza z zupą, a potem na Androwskiego. Zajęcie się jego dwojgiem tych ludzi, których spotkał w tej pustce rozłogów w chwili, gdy wszystkie jego władze były wzniecone z powodu przebytego niebezpieczeństwa, bądź jak bądź, było bardzo niezwykłem. Było atoli coś, co czyniło zajęcie to jeszcze bardziej niezwykłem—mianowicie, w stosunku do Androwskiego. Zdawało mu się, iż widział go już kiedyś, a może nawet poznał się z nim kiedy. Tak jest, twarz Androwskiego nie była mu obcą. Nie mógł rzec, skąd czerpał te wrażenia, lecz były one dziwne. Szukał w pamięci.

Uczucie znużenia stłoczyło go na razie, gorąca atoli zupa i pierwsza lampka wina orzeźwiły go. Od zewnątrz dobiegł do nich wesoły gwar obozowiska.

— Obawiam się, czy moi ludzie nie zanadto hałasują—rzekł de Trevignac.

— To nam sprawia przyjemność—rzekła Domini.—Nieprawdaż, Borysie?

— Oczywiście — odrzekł Androwski wciąż tym samym zduszonym i nienaturalnym głosem, który już był zdziwił Domini, gdy przedstawiała dwóch panów wzajemnie.— Jesteśmy przyzwyczajeni do wesołości u ognisk obozowych.

— Czy długo zabawicie państwo w pustyni? — zapytał de Trevignac.

— Przypuszczam, że tak. To zależy od mojej... to zależy od pani Androwskiej.

— Dlaczego nie powiedział: „od mojej żony"? — pomyślał de Trevignac. I znowu szukał w pamięci. Czy rzeczywiście widział kiedy tego człowieka? A jeżeli widział, to gdzie?

— Co do mnie, zostałabym w pustyni na zawsze—rzekła szybko Domini, rzucając przeciągłe spojrzenie na swego małżonka.

— Jabym nie mógł, proszę pani—oświadczył de Trevignac.

— Pojmuję. Pustynia ukazała panu swą grozę.

— Istotnie tak było.

— Nam ukazała jedynie swe czary. Czyż nieprawda?—zwróciła się do Androwskiego.

Po chwili odrzekł:

— Tak jest.

Słowa te, wybiegłszy, zadźwięczały, jak kłamstwo.

Po raz pierwszy od czasu małżeństwa Domini uczuła chłód, jak chłód lodu koło serca.

Domini i de Trevignac pili wino szampańskie. Uardi zbliżył się do Androwskiego, by napełnić jego kieliszek.

— Nie, nie! — odrzekł, kładąc dłoń na kieliszku i potrząsając głową.

De Trevignac drgnął.

Uardi spojrzał na Domini i zrobił grymas rozpaczny, wskazując palcem brunatnym kieliszek.

— A! Borysie! musisz się napić z nami szampańskiego! — zawołała.

— Wolałbym nie pić — odrzekł — Nie przywykłem do szampańskiego.

— Ale musimy wypić za zdrowie naszego gościa, który uszedł śmierci!

Androwski odjął dłoń od kieliszka, i Uardi napełnił go winem.

Wtedy Domini ujęła kieliszek i wzniosła zdrowie de Trevignaca. Androwski poszedł za jej przykładem, atoli bez animuszu. Zbliżywszy usta do kieliszka, zaledwie że musnął wina. Potem odstawił kieliszek i kazał Uardiemu dać sobie wina czerwonego. I już przez cały obiad nie pił szampańskiego. Jadł również bardzo mało, mniej, niż zwykle, kiedy apetyty obojga w pustyni były prawdziwie wilcze.

Rozmowa zeszła na Mogar. Domini wyraziła de Trevignacowi, jak przykre uczucia trwogi i opuszczenia budzi ta kamienista miejscowość, a potem zwróciła się do Androwskiego:

— Czyż nieprawda, Borysie? Czyż nie wygląda Mogar na miejscowość, w której... na miejscowość tragiczną, która musi sprowadzić tragedyę?

— Nie miejsca tworzą tragedye — rzekł Androwski,—lub, co najmniej, znacznie rzadziej, niż sądzą o tem ludzie.

Zatrzymał się i zdawało się, że czyni wysiłek, by przełamać swoję małomówność i że na razie zdolen jest ją przełamać, przynajmniej częściowo. Bowiem mówił już dalej z większą swobodą i naturalnością, a nawet z pewną mocą przewodzącą:

— Gdyby ludzie zażywali swej woli, miejscowości nie miałyby na nich wpływu, nie byliby rządzeni przez tysiące rzeczy: wspomnienia, obawy, wyobraźnię—tak jest, przez obrazy, które nastręcza wyobraźnia, a które są cieniami jedynie, z których ludzie sami tworzą sobie upiory.

— Lecz przecie ty sam—rzekła Domini,—gdyśmy tu przybyli, uczułeś wpływ tragiczny tego miejsca. Czy nie pamiętasz, jakeś spoglądał na tę basztę?

— Na basztę!—rzekł, rzucając szybkie spojrzenie na de Trevignaca.—Pocóżbym miał spoglądać na basztę?

— Nie wiem tego. Patrzałeś jednak na nią, jak gdyby budziła ona przestrach w tobie.

— Moja wieża!—rzekł de Trevignac.

Od ogniska dopłynął do nich nowy wybuch śmiechu. Domini uśmiechnęła się życzliwie, lecz de Trevignac i Androwski spojrzeli na siebie przez chwilę, jeden z rodzajem surowego wniknięcia, drugi z wrogością lub z tem, co się zdało wrogością poprzez krąg światła od lampy, który ich rozdzielał.

De Trevignac zwrócił się do Domini:

— W tym razie pani była samotną czuwającą, a ja tem czemś strasznem, co przyszło.

Zaśmiała się. Kiedy to czyniła, de Trevignac zauważył, że Androwski spojrzał na nią z rodzajem smutnej uwagi, jakby osoba starsza patrzała na dziecko, igrające na skraju przepaści, w którą krok fałszywy może je strącić lada chwila. Starał się wytłómaczyć sobie ten dziwny wzrok, tak jawnie zrodzony na twarzy Androwskiego w związku z jego własnem spojrzeniem. Zdało mu się, że musiał gdzieś spotkać Androwskiego i że Androwski wiedział o tem, wiedział—czego on jeszcze nie wiedział—gdzie to było i kiedy.

Zaśmiawszy się, Domini rzekła:

— Przeciwnie, proszę pana: pan zwrócił moje myśli w kierunku weselszym.

— Jakim sposobem?

— Skierował je pan na tory rzeczy tak zwanych drobnych życiowych, które, sądzę, są raczej działem kobiety, niż mężczyzny.

— Ach!—rzekł.—Ta strawa, to wino, ten fotel z poduszką, to światło wesołe—nie są to drobne rzeczy—i czuję za nie wdzięczność niezmierną. Kiedy pomyślę o zaspach, wtedy rzeczy te zdają mi się .. zdają mi się...

Naraz urwał. Wesoły głos jego załamał się. Ujrzała łzy w jego niebieskich oczach, utkwionych w nią z wyrazem płomiennej wdzięczności. Odchrząknął.

— Nie weźmie mi pan tego—zwrócił się do Androwskiego — za zbytnie wykroczenie przygodnej znajomości w pustyni, jeżeli oświadczę mu, iż do końca życia—ja i moi ludzie—będziemy wspominali panią, jak bóstwo dobroczynne w pustynnej Saharze.

Nie wiedział, jakie wrażenie zrobi to oświadczenie na Androwskim, i nie dbał o to.

Androwski rzekł:

— Dziękuję panu.

Rzekł to z mocą, nawet z zapałem, które były wstrząsające. Po raz pierwszy, odkąd byli razem, głos jego zadźwięczał całkiem naturalnie, sposób zachowania był całkiem niewymuszony, okazał się, czem był, człekiem płomiennym, z miłością dla kobiety, która mu się oddała, a który ciepłe słowo pochwały dla niej przyjmuje, jako dar i jemu przynależny. De Trevignac nie dziwił się już, że Domini była jego żoną. Dwa słowa te i sposób, w jaki zostały wypowiedziane, odsłoniły mu człowieka—i czem on był w życiu kobiety. Domini spojrzała na swego męża w milczeniu. Zdało się, że serce jej kąpie się w świetle i że opuszczony Mogar staje się naraz rajem na przyjęcie aniołów.

Pod koniec obiadu Domini wstała od stołu.

— Nie krępujmy się w pustyni — rzekła. — Opuszczę panów na chwilę. Daj, Borysie, panu de Trevignac'owi cygaro. Zaraz przyniosą kawę.

Poszła ku ognisku obozowemu. Chciała zostawić dwóch mężczyzn ze sobą, by zawarli bliższą znajomość. Zmiana w usposobieniu jej męża i zwrot od milczenia ku serdeczności zachwyciły ją. Była szczęśliwa, jak dziecko.

Pomiędzy ogniskiem i namiotem spotkała Uardiego, niosącego tacę, a na niej kawiarkę, filiżanki, małe kieliszki i pękattą butelkę z likierem afrykańskim—niespodzianka, jaką zgotował Batucz.

Zbliżyła się do ogniska i stała przez kilka minut, patrząc na ogień i na twarze, ogniem oświetlone, francuzów i arabów. Szczęśliwe żołnierzyki śpiewali chórem francuskie piosenki, ku zadowoleniu arabów, którzy, kołysząc do taktu głowami i przyklaskując z uśmiechem, starali się okazać uznanie dla muzyki barbarzyńców. Zdjęła ją raptowna ochota pójścia aż do baszty, do miejsca, w którem czuła się tak smutną i zgnębioną, postać tam chwilę w jej cieniu i oddać się radości, która jej serce przepełniała.

Poszła za pobudką, przebyła przestrzeń, wiodącą ku baszcie, i stanęła pod nią, patrząc w ciemność, która okrywała zaspy, białe równiny, morze ułudne, widząc je w wyobraźni i radośnie odżegnując się od nich. Potem zmierzała z powrotem do obozowiska, idąc wolno, jak idą ludzie szczęśliwi. Gdy uszła kawałek drogi, usłyszała, że ktoś zbliża się do niej. Było zbyt ciemno, by można było widzieć, kto szedł ku tej stronie. Mogła tylko słyszeć kroki śród kamieni. Kroki te były śpieszne. Przeszły koło niej i zatrzymały się za nią u baszty. Pytała siebie, ktoby mógł być, i przyszła do wniosku, że, być może, który z żołnierzy udał się po coś do baszty, lub może zmęczony pośpieszył do łóżka.

Zbliżała się ku namiotowi w którym pozostawiła Androwskiego z de Trevignac'iem. Spodziewała się, że usłyszy już zdala głosy ożywione, lecz nic nie usłyszała. Nie ujrzała też ich czarnych sylwetek w kole światła. Może przyłą, czyli się do żołnierzy i do arabów koło ogniska. Przyśpieszyła kroku, przyszła do namiotu, weszła i zastała tylko swego małżonka, stojącego w kącie, utworzonym przez płótna namiotu, plecami do niej. Na podłodze leżały kawałki rozbitego kieliszka.

— Borysie! — rzekła. — Gdzie pan de Trevignac?

— Poszedł — odrzekł Androwski głosem mocnym i głośno.

Spojrzała na niego. Twarz jego była mroczna i pełna mocy, zacięta, jak twarz człowieka, który walczy.

— Poszedł? Dlaczego?

— Zmęczony. Prosił, żebym cię w jego imieniu przeprosił.

— Ależ...

Spojrzała na filiżanki z kawą, które stały na stole. Dwie z nich były pełne. Trzecia, jej filiżanka, była opróżniona.

— Lecz on nie wypił kawy!—rzekła.

— Nie chciał.

— Lecz... co się tu działo?

Spojrzała na rozbite szkło i uj-

rzała plamy na podłodze śród szczątków.

— Co to takiego? — rzekła. — O, to likier afrykański.

Androwski ujął naraz jej ramię, jak w szpony żelazne, i wyprowadził ją z namiotu. Przebyli w milczeniu przestrzeń ku namiotowi sypialnemu. Gdy już przyszli do niego, puścił jej rękę i usłyszała, jak szukał zapałek. Stała w drzwiach namiotu i mogła była stąd widzieć, że w baszcie było światło. De Trevignac musiał już był powrócić.

Androwski potarł zapałkę i zapalił świecę. Potem zbliżył się do drzwi namiotu i ujrzał, że Domini miała wzrok skierowany ku wieży oświetlonej.

— Chodź do środka, Domini — rzekł, ujmując ją za rękę i mówiąc grzecznie, lecz wciąż z tą mocą, która miała rozkaz w podorędziu.

Domini usłuchała; Androwski zasłonił płótno i odgrodził wnętrze namiotu od ciemności nocy.

— Co to było, Borysie? — zapytała.

Stała przy jednem z łóżek.

— Co to się stało?

— Dlaczegoż... stało?

— Nie pojmuję. Dlaczego pan de Trevignac oddalił się tak nagle?

— Domini! Czyliż dbasz tak wielce o to, czy jest on, czy poszedł? Czyli dbasz o to?

Siadł w rogu łóżka i pociągnął ją ku sobie do boku.

— Czyż pragniesz, by nam mącono życie i miłość? By wkraczano w to życie? Czyż nie jesteśmy szczęśliwsi sami?

— Borysie! — rzekła,— lecz ty nie okazałeś mu, że chciałbyś, żeby się oddalił. Nie uczyniłeś tego, Borysie! —zawołała głośniej.—Po jego ujściu z rąk śmierci! Byłoby to nie po ludzku!

— Być może, miłość moja dla ciebie i na toby się ważyła, Domini. A wtedy, gdybyś wiedziała, dlaczego jestem nieludzki—czybyś się mnie za to sromała? Czy mogłabyś mnie za to nienawidzieć?

Czuła, iż wzbiera w nim żywioł wzburzony.

— Czy mogłabyś... czy mogłabyś nienawidzieć mnie kiedy, Domini, za cobądź... Powiedz, czy mogłabyś? — pytał.

Twarz jego była blizko jej twarzy. Patrzała na niego wielkiemi, niezwodnemi oczyma, gdzie w ogniu ciemnym była wypisana wszystka prawda ducha.

— Nie—odrzekła.—Nie mogłabym cię nigdy znienawidzieć... obecnie.

— Nawet... gdybym cię ukrzywdził? Nawet, gdybym postąpił względem ciebie niesprawiedliwie?

— Czyż mógłbyś postąpić niesprawiedliwie?—zapytała.

— Masz tedy zupełną wiarę we mnie?

— Lecz... czyż kiedy sądziłeś, że tak nie jest?—spytała.

W głosie jej było zdziwienie.

— Oddałam ci przecie całe moje życie—dodała, wciąż ze zdziwieniem.—Jestem tu z tobą w pustyni. Cóż mogę ci dać więcej? Cóż mogę więcej uczynić?

Otoczył ją ramionami i głowę jej przygarnął, by spoczęła na jego ramieniu.

— Nic, nic. Dałaś mi, dałaś mi wszystko... za wiele, za wiele. Czuję się niższym od ciebie, wiem, iż jestem niżej od ciebie... o, tak... daleko niżej.

— Jak możesz mówić tak? Nie kochałabym ciebie, gdyby było tak...

Mówiła z całkowitem przeświadczeniem.

— Kobieta, być może — rzekł ciszej,—nigdy nie uświadamia sobie, co może zdziałać miłość. Może ona...

— Cóż takiego, Borysie?

— Może ona zdziałać, co zdziałał Chrystus: zstąpić do piekieł i nawracać duchy potępione. To może miłość, Domini!

— Borysie!—rzekła Domini też prawie szeptem, bowiem jego słowa i sposób mówienia namaszczały ją czemś poważnem. — Pragnę, byś mi na jedno odpowiedział.

— Cóż takiego?

— Czy jesteś ze mną szczęśliwy tu w pustyni? Jeżeli jesteś, pragnę, byś mi powiedział, iż jesteś. Pamiętaj... będę ci wierzyła.

— Żadna ludzka istota nie może mi dać takiego szczęścia, jakie ty mi dajesz.

— Ale...

Przerwał jej:

— Nikt na świecie nie mógł mi nigdy dać takiego szczęścia. Zanim ciebie poznałem, nie miałem pojęcia, iż może być takie szczęście śród dwojga ludzi, którzy się kochają.

— Zatem jesteś szczęśliwy?

— Czyliż nie zdaję się być szczęśliwym?

Nie odrzekła. Trzymał wciąż rękę na jej twarzy. Po chwili, która mu się wydała wiecznością czekania, rzekła:

— Borysie!

— Co, Domini?

— Dlaczego rzekłeś o miłości kobiecej, iż jest zdolną zstąpić nawet do piekieł i nawracać duchy potępione?

Nie odpowiedział. Zdało się jej, iż ręka jego zawisła ciężej na jej policzku.

— Nie jestem całkowicie pewną, iż jesteś ze mną szczęśliwy.

W głosie jej była nuta zamierania.

— A kysz, Domini! A kysz!— rzekł.

Zamilkli oboje. Za płótnami namiotu, które odgradzały ich od obozowiska, usłyszeli dźwięki muzyki. Rozległy się uderzenia bębenków. Zajęczała piszczałka afrykańska. Potem wzbił się głos Alego, śpiewający pieśń „wolnych murzynów“:

„Nikt, prócz Boga i prócz mnie,
Nie wie, co w mem sercu“.

W tej chwili Domini uczuła, iż słowa te zawierały prawdę—prawdę okrutną.

— Borysie!—rzekła.—Czy słyszysz?

— Kysz, Domini!

— Mniemam, iż jest coś w twem sercu, co smutkiem cię poi, nawet gdy jesteś ze mną.

Zamilkła, po chwili rzekła:

— Jesteś ze mną, Borysie, jesteś blizko mnie, lecz czyliż nie czujesz czasami, Borysie, jak zdala jesteś od Boga?

Nic nie odpowiedział.

— Nie wiem nic. O nic nie chcę pytać... nie chcę. Jeżeli jednak jest, jak sądzę, zbądź smutku, Borysie. Wszystko się naprawi... tu, w pustyni. Pustynia bowiem jest ogrodem Allaha. I... Borysie, zagaś światło

Zgasił świecę dłonią.

— Być może, czujesz, że obecnie nie możesz się modlić rzetelnie, lecz z czasem będziesz mógł to czynić. Tak jest, będziesz mógł. Wiem o tem. Zanim jeszcze poznałam, że kocham cię, widziałam cię... modlącego się w pustyni.

— Mnie?— ozwał się głosem stłumionym. — Widziałaś mnie modlącego się w pustyni?

Miała wrażenie, że się przestraszył tych słów. Zawarła go mocniej w ramionach.

— Było to owej nocy w domu tanecznym. Miałam wrażenie, że widzę tłum ludzi, którym pustynia udziela darów—i tobie wtedy udzieliła daru modlitwy. Widziałam ciebie daleko w pustyni, trwającego na modlitwie.

Usłyszała, że dyszał ciężko, uczuła oddech ten koło swego policzka.

— Jeżeli tak jest w istocie, Borysie, nie rozpaczaj. To przyjdzie. Weź krzyż. Jestem pewna, że masz go. Ja zawsze się modlę za ciebie.

Długo w noc tę siedzieli w ciemności, lecz już nie mówili do siebie

Domini nie spała tej nocy, i bardzo wczesnym rankiem, gdy zorza się poczynała, wyszła po cichu z namiotu, opuszczając szczelnie za sobą jego zasłonę.

Na dworze było świeżo—jak pod tchnieniem wiatru północnego.

Stanęła na skraju wzgórka i patrzała ku wieży.

Gdy tak stała, z siedziby obok wysunął się sznur mułów, torując sobie drogę śród kamieni po twardej ziemi. De Trevignac i jego ludzie opuszczali już Mogar.

Stała i patrzała, jak nadciągali.

Gdy już byli całkiem blizko, de Trevignac, jadący na mule, z głową opuszczoną na piersi, w płaszcz ciężki owinięty, podniósł głowę i ujrzał Domini. Skinęła mu głową. Wyprostował się i salutował. Przez chwilę myślała, że przejedzie mimo, nie zatrzymawszy się i nie przemówiwszy słowa. Widziała, że waha się, co ma czynić. Wreszcie trącił muła ostrogą, zamierzając odjechać.

— Nie, niech pan tak nie odjeżdża—rzekła Domini.

Przeciągnęła mu dłoń.

— Do widzenia!—dodała.

Ujął jej rękę, a potem dał znak ludziom, żeby jechali. Gdy już minęli ją, salutując, wtedy puścił jej rękę. Nie wyrzekł słowa. Lico jego, spalone na szkarłat od słońca, miało wyraz wycieńczenia, lecz także i inny jeszcze wyraz—wyraz grozy, jak się jej zdawało, jak gdyby w duszy swej cały się od niej odstronił. Stała koło jego muła zdumiona. Zaledwie wierzyć mogła, że jest on tym samym człowiekiem, który ze łzami w oczach dziękował jej wczoraj za gościnę.

— Żegnam panią!—rzekł wreszcie chłodno.

Spostrzegła, że rzucił wzrok ku namiotowi, skąd wyszła. Wyraz zgrozy na jego twarzy pogłębił się jeszcze bardziej.

— Żegnam panią! — powtórzył.—Dziękuję za gościnność!

Popędził muła uzdeczką. Muł postąpił krok czy dwa. Naraz zatrzymał go i zwrócił się w siodle.

— *Madame!*—rzekł.—*Madame!*

Zbliżyła się do niego. Zdało się jej, że naraz usłyszy od niego coś ważnego i przerażającego.

Usta jego, spieczone od słońca, otworzyły się, by przemówić. Spojrzał atoli jedynie znów ku namiotowi, w którym spał Androwski, a potem na nią.

Minęła długa chwila.

A potem de Trevignac, jak gdyby działając pod nieprzezwyciężoną pobudką, pochylił się na siodle i zrobił nad Domini znak krzyża. Ręka jego opadła na bok muła i bez słowa jednego, i bez spojrzenia, odjechał ku północy, łącząc się z swymi ludźmi.

DCN.

Wiadomości literackie.

Polonica.

Nakładem Fasquelle'a w Paryżu ukazała się w bardzo starannym francuskim przekładzie Bronisława Kozakiewicza powieść Orzeszkowej „Meir" („Meier Ezofowicz").

× Kwartalnik angielski *The Mask*, pismo wychodzące we Florencyi pod redakcyą Gordona Craiga a sprawom teatru poświęcone, zamieszcza w ostatnim—październikowym — zeszycie koniec studyum p. L. Schildenfeld-Schillera p. t. „*The new theatre in Poland: „Stanisław Wyspiański"*" („Nowy teatr w Polsce".) Autor daje w tym artykule umiejętnie streszczony rozbiór następujących dzieł Wyspiańskiego: „Legenda", „Bolesław Śmiały," „Achille," „Akropolis," „Noc listopadowa", „Wesele"; każdy z tych utworów zaopatrzony jest w objaśnienia niezbędne, bez których nie mógłby cudzoziemiec zrozumieć istoty dzieł mistrza. Bardzo rytmiczny i wiernie myśl oddający jest przekład angielski zwrotki Chochoła z „Wesela."

„Teatr Wyspiańskiego—pisze p. Schildenfeld - Schiller — służy Prawdzie, tej Prawdzie, która ujawnia się w hieratycznym teatrze starożytności a którą dzisiaj tylko oko jasnowidzącego geniusza może wyczytać z gwiazd.. Dramat Wyspiańskiego jest teatralny. Wyspiański nie usiłuje wytworzyć złudzenia życia, jakkolwiek teatr jego jest najwierniejszem życia zwierciadłem. Każdy temat dramatyczny jest dla niego nowem zagadnieniem formy teatralnej, każdy nowem jej rozstrzygnięciem. Wyspiański miażdży i niweczy teatralność starego, teatru ale w sztuce teatralnej odkrywa odwieczne wartości, które w jego osobistem zastosowaniu stają się pierwiastkami teatralności nowej. Wyspiański niweczy teatr stary, zarówno romantyczny, jak i naturalistyczny. Niweczy go w imię Prawdy, którą ma wypisaną w duszy swojej, jak Hamlet. W imię Prawdy... nie zaś realizmu psychologicznego, realizmu ideowego. To rzecz inna..."

Z literatury francuskiej.

× *Mary Gill*. „*L'Officine*", („Apteka"). Powieści ze świata aptekarskiego mamy niewiele; dlatego też z książki niniejszej czytelnicy dowiedzą się niejednej rzeczy nowej. Autor w jaskrawem świetle przedstawił oszustwa, prowadzone z t. zw. środkami tajnemi. Młody aptekarz, który z handlu swego chce uczynić rzemiosło uczciwe, budzi w kolegach swoich takie oburzenie, że wychowańcy paryskiej szkoły farmaceutycznej dążą przed jego aptekę i, gdyby nie policya, zburzyliby mu ją niechybnie. Mary Gill złożył i w tej nowej powieści dowody tych samych zalet pisarskich, które mu za książkę dawniejszą p. t. „Loëta" przyniosły nagrodę Towarzystwa krytyki literackiej.

× *Antonin Lavergne*. „*Les Frelons*" („*Szerszenie*"). P. Lavergne jest prawie gorliwszym jeszcze od Leona Frapié'go rzecznikiem powieści szkoły ludowej.

W „Szerszeniach" zajmuje się małżeńskiemi widokami i dziejami nauczycielek, które rzadko mogą poślubić nauczyciela, mającego posadę w tej samej, co one, miejscowości. Stąd wynika, że padają często ofiarą wyzyskiwaczy, od których z trudnością mogą się uwolnić, gdyż rozwód i dziś jeszcze rzuca niekorzystne światło na wychowawczynię młodzieży. To też autor bohaterki swojej nie może uwolnić inaczej od jej „szerszenia", jak przez wypadek podczas jazdy na rowerze.

× *Georges Beaume*. „*Les trois Apôtres*" („Trzej apostołowie.") Życie wiejskie Prowancyi posiada w p. Beaume bardzo gorliwego, szczerego i przeważnie interesującego rzecznika. Jego „Trzej apostołowie" są bardzo udatnie nakreślonymi oryginałami, a spór między bogatem miasteczkiem Mèzes i ubogą wioską Bouzigue opisany jest z niemałą satyryczną werwą. Nie brak też wiejskich Romea i Julii, a ta Julia prowansalska, z godną podziwu umiejętnością ratuje swego ograniczonego ojca ze szponów innego apostoła, pragnącego obdarzyć wioskę muzeum przyrodniczem, na które fundusz zbiera drogą żebraniny.

Z literatury niemieckiej.

× *Thomas Mann*. „*Königliche Hoheit*" (Królewska Wysokość.) Z wytwornie humorystycznym sarkazmem w starannie opracowanej formie literackiej opisał autor dzieje niemieckiego książątka udzielnego. Urodził się kaleką—ma lewą rękę suchą—co nie przeszkadza córce miliardera amerykańskiego sięgnąć po podaną zdrową ręką księcia mitrę. A ks. Klaus Henryk, wychowany samotnie, w atmosferze uroczystej, która ma go przygotować do doniosłego stanowiska, jakie mu los przeznaczył, decyduje się na mezalians, gdy minister wtajemniczył go w ciężkie położenie finansowe kraju. Amerykanka bierze księcia zrazu ze strony komicznej i szydzi z niego zlekka, mówi wręcz, że nie ma do niego zaufania, bo jej przeszkadza „cała jego dostojna osobistość." Nieufność ta znika wszakże, gdy książę, pod wpływem smutnych wieści, od ministra otrzymanych, zabiera się po raz pierwszy do pracy, zaczyna wraz z nią studyować finanse i ekonomię polityczną. Otwierają się tedy złote źródła magnata trustowego, *mister* Spoelmana, i puszczają w ruch książęcą nawę państwową. Wobec tego faktu kwestya równości młodej pary przestała istnieć, zarówno w radzie państwa, jak i w wiernym ludzie, jakkolwiek miliarderka—*miss* Imma, nie ukrywa bynajmniej domieszki pierwiastku indyjskiego do krwi swojej. Całe postępowanie amerykanina w małej stolicy, jego oddziaływanie na świat mieszczański i arystokratyczny prowadzi z natury rzeczy do szeregu zajść, zaprawionych przez autora wytrawną ironią, nie przekraczającą wszakże granicy, poza którą zaczyna się już groteskowość.

TREŚĆ NUMERU 45-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Chrzest. *Tad. Nalepiński.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

Redaktor i wydawca „Romansu i Powieści":
JÓZEF JANKOWSKI.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie